Tom XII. Nr. 10.

1. kwietnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święcona palma.

Jechałem nie dawno na odpust Zwiastowania Panny Maryi i popasałem we wsi Krukowice koło arendy, gdzie nie było żyda arendarza, jeno arendował tam katolik, niejaki Walek Burda — a był ci on dawniej we dworze kucharzem i na stare lata dał mu pan tamtejszy za wysługę sprawiedliwą aż do śmierci arendę Krukowicką.

Ten Burda był już dobrze podstarzały, miał on siwe włosy, kapotę po staropolsku czerwonym pasem podpasaną, na piersiach szkaplerz św. a nad łóżkiem jego widziałem na moje własne oczy palmę na krzyż zawieszoną, obrazek Matki Bożej Częstochowskiej i św. Walentego, patrona Burdy. A znowu na stoliku koło łóżka stał ukrzyżowany Pan Jezus i dwie świece koło niego, a pod krzyżem leżała książka do modlenia. Ale takie świętości w domu polaka i katolika na wsi, i to jeszcze w arendzie przy gościńcu nie zadziwiły mię bardzo, boć takie święte rzeczy powinny być w każdym domu polskim, czy to u gazdy czy u chudaka jakiego, jeno co mię zadziwiło bardzo

to to, że koło szynkfasu na długim stole od ściany do ściany przez całą izbę arendy zobaczyłem na samym środku stołu jakieś druki i pisma różne. Ja ciekawy idę do tego stołu i patrzę, a to drukowany „Dzwonek“ i znowu „Nowiny ze świata“ leżą na stole numera za numerami. Ja pytam:

— A kto to czyta te gazety w arendzie?

A stary Burda powiada mi:

— To ja mój jegomość! czytam czasami naszym gazdom, parobkom i gospodarzom ze wsi, jak się tu poschodzą.

Na takie gadanie zadumałem się, i ażem się z radości wielkiej rozpłakał, podziękowałem w myśli Bogu, że gazdowie Krukowiccy przepędzają sobie czas wolny tak pięknie i ładnie i myślę sobie dalej:

O! gdyby to tak wszędzie było po arendach, gdyby zamiast pijatyki i bitki i głupiego gadania i krzyku, czytali sobie gazdowie i parobcy to „Dzwonek“ to „Nowiny ze świata“ albo różne druki, jakie trzymają xięża i panowie po parafiach, toby wtedy przybyło dużo dużo rozumu dobrego dla nie jednego, a jaka to to znowu chwała dla Pana Jezusa, jaki honor dla gromady takiej, jaki przykład dla drugich, jakie błogosławieństwo boskie!

I tak dumając sobie siadłem na ławie długiej w arendzie, aż tu zaczęli się schodzić i ludziska rozmaici i wnet było pełno w gospodzie. Ja zatuliłem się w kożuch tak, że mię nikt poznać nie mógł, co ja za jeden, i siedziałem sobie cicho pod ścianą. Wnet jeden parobczak zuchowaty i tęgi, nito młody dąbek, powiada:

— No! panie Walenty! przed nabożeństwem na odpuście nie uchodzi katolikom zabierać się do napitku, bo to grzech i pójdzie się i do św. spowiedzi i do św. komunii, toć trudno zapomnieć się tak, aby się człowiekowi kręciła gorzałka po głowie zamiast pomyślenia pobożnego o Bogu i duszy grzesznej. Ale wartałoby się, abyście nam też opowiedzieli jakie takie ciekawości pobożne.

A znowu jakiś gazda średniego wieku gada:

— Ano! macie tu nad waszem łóżkiem panie Walenty poświęconą palmę jeszcze z łońskiego roku, to nam też ga-

dajcie, na jaką to pamiątkę te palmy? i na co to wiszą one nad łóżkiem?

Toż stary Burda zdjął czapkę i mówił:

— Moi kochani! ile razy rozmawiacie o świętych rzeczach, lub czytacie pobożne jakie książki, to trza uczcić po katolicku takie świętości.

Na te słowa pozdejmowali wszyscy czapki, toż i ja ściągnąłem z uszu moją czapczynę i nadstawiłem uszy dobrze, aby posłuchać, jak to Burda miał opowiadać im o święconej palmie.

A więc Burda stary i pobożny tak jął gadać:

— Widzicie moi dobrzy ludzie! że całe życie i męka Pana Jezusa jest nam Polakom i katolikom nauką, przykładem żywym, jak to my wszyscy i xięża i pany i chłopy i mieszczany mamy robić za życia i jak mamy gotować się na śmierć i na sąd boży. Wszystkie sprawy Pana Jezusa powinniśmy nabożnie obchodzić i naśladować jak kto podoła — bo to nasi dziadkowie w polskim kraju obchodzili bardzo nabożnie takie rzeczy, a na cały świat nie było za dawnych lat nigdzie tak pobożnych katolików i tyle, jak to bywało z dziada pradziada w naszej Polsce od morza do morza na sta mil od wschodu na zachód, po wszystkich miastach, dworach, plebaniach i parafiach. Toż było za to wtedy i chleba i grosiwa pełno, kościoły były bogate, dwory złote, gromady z brogami, chleba jak gwiazdy na wysokiem niebie, a pobożność wszędzie taka, że nie jeden Ojciec św. gadał, że polska kraina to perła dla Pana Jezusa i dla Najświętszej Panny.

A gazda jeden powiada:

— Toć przecie już tam i my polscy gazdowie nie tacy ostatni na świecie bożym dzisiaj.

— To prawda, mówi Burda, trafi się i dziś dziesiąty albo i setny pobożny, ale z dawien dawna każdy był pobożny od małego do wielkiego, od młodego do starego. Ale mam wam mówić o palmie święconej. Otóż rok rocznie święci się palma u nas na tę pamiątkę, jak to Pan Jezus przyjechał ostatni raz do miasta żydowskiego Jerozolimy, a ludzie wyszli z miasta naprzeciw niego, stanęli po obu stronach gościńca daleko, daleko i kiedy On jechał drogą, to oni łamali gałęzie zielone

na drzewach i rzucali rękami na ziemię pod nóżki święte Panu Jezusowi, a to robili z wielkiej miłości i wdzięczności dla Niego za to, że On każdego pouczał, każdemu najlepiej doradził, każdemu w każdej biedzie dopomagał, a nikim nigdy choćby najbiedniejszym nie pogardził. I tyle mu takich zielonych gałązek nasłali pod stopy św., że cała droga była zielona nito łąka jaka, a znowu byli tam jeszcze lepsi, boć oni porozbierali się do koszuli, a swoje świąteczne ubranie porozciągali het po drodze, nito płótno do bielenia, a to na to, aby Pan Jezus za swoje najlepsze i najświętsze życie nie chodził po gołej ziemi, jeno po ich sukienkach. Tacy dobrzy ludzie byliby umarli dorazu z wielkiej miłości za Pana Jezusa, gdyby był Pan Jezus tego od nich zażądał — ale Pan Jezus żąda od nas jeno tego, aby każdy robił to, co Pan Jezus każe, a nie robił tego, czego On nie każe. Pan Jezus chce, aby każdy żył jak najpobożniej, aby każdy kochał Pana Jezusa i znowu kochał jeden drugiego jak rodzony brat brata, aby Polacy trzymali razem do wszystkiego dobrego.

Toż taka miłość i wdzięczność tamtych ludzi dla samego Pana Jezusa jest dla nas Polaków przykładem, abyśmy byli wdzięcznymi za wszystko dobre, co nam kiedy zrobią czy to dwory, czy kościoły, czy szkoły, czy piśmienni, czy bogacze, abyśmy się i złym odpłacali dobrem, a znowu dobrym ludziom byli zawsze dobrego serca i dobrej myśli i szli razem z nimi za życia i po śmierci zawsze do Pana Jezusa.

A jeden gazda poderwał i mówił tak:

— Aha! to to na to w ostatnią niedzielę postu święcą się te palmy, że to ostatni raz przed swoją męką i śmiercią przybył Pan Jezus do Jerozolimy grzesznej...

— A dobrze gadacie, mówił Burda, ale zgadnijcieże mi to, dla czego zowie się ta niedziela także niedzielą kwietnią.

— O! dla czego? mruknął znowu jakiś gazda, jużci oczywista z tej racyi zowie się palmową niedzielą, bo się wtedy palmy i gałązki święcą, a co się nie robi przez cały rok boży w żadną inną niedzielę — a nie wielka tam sztuka zgadnąć i to, że się nazywa niedzielą kwietnią, boć w tę niedzielę najpierwszą święcą się takie pręciki z wierzby, co to najpierwej

u nas Polaków wypuszczają kwiat, co u nas gazdów zowie się ten kwiat kotkami, a jakie się pokazują z woli bożej wszędzie na początku wiosny, gdzie jeno u nas rośnie na moczarach młoda wierzbina albo łozina.

— Dobrze sobie zmiarkowaliście, gadał Burda, toż my Polacy, co nie mamy w naszym całym polskim kraju drzewiny palmowej, jaka rosła koło Jerozolimy, a potem cò nie mamy jeszcze ani na jabłoni, ani na gruszce, ani na trześni kwiatów, bierzemy sobie pręciki takie albo z wierzby albo z łoziny, co to już powypuszczały pączki i z tych pączków wyrosły pierwsze kwiaty, a po naszemu kotki, wiążemy to w drobne wiązeczki sznureczkami i tak święcimy te dary boże po kościołach naszych najprzód na pamiątkę przybycia pańskiego do Jerozolimy na święta, gdzie Go tak pobożni witali, a potem i na tę pamiątkę, że to u nas po te czasy przychodzi już wiosna i nasze drzewa już pękają, a wszyscy Polacy zaczynają się cieszyć, że wiosna idzie i dziękują Bogu za ciepłe słoneczko i ofiarują Mu za to pierwszy kwiat z polskiej drzewiny. Ten zwyk pobożny mamy po naszych pradziadkach i trza go zachować u nas na wieczne czasy, a te święcone pręciki mamy szanować, jak to robili nasi dziadkowie. Ale znowu ktoś zagadał tak:

— A na co to wieszają ludziska te święcone pręciki po stajniach i stodołach i dają te kotki jeść bydłu?

— O na co? odezwał się jakiś dziadowina, a jużci na to, aby Bóg zachował bydełko od jakiej zarazy po stajniach, aby było dużo nabiału i aby się nabiał nie psuł, toć i bydlęciu marnemu nie zawadzi zjeść święcone ziele i te kotki, bo to przecie nie trucizna — a ludzie to nie jedzą, jak ich zimnica bije? albo nie kadzą się tym dymem święconym, kiedy ich niedobre guziska na szyi owalą? albo nie tłuką i nie przykładają na różny gościec? A i w stodole to nie zawadzi zawiesić, boć i do stodoły potrzebna każdemu pomoc boża, potrzeba i chleba i paszy dobrej dla bydła — toć to przecie nie proste kije, jeno święcone rzeczy...

— To prawda wszystko, co gadacie, odezwał się Burda, boć wszystko od Boga jest dla zbawienia naszego dane — jeno trza wszystkiego podług dobrego zdania i poznania używać.

Takie kotki święcone są dobre i dla bydełka polskiego i dla Polaków na lekarstwo, jeno nie trza być zabobonnym nigdy, to jest, nie trza sobie myśleć, że takie kotki święcone mają moc niezawodną na choroby — bo choroba idzie nie raz z naszej winy i głupoty, a nieraz jest karą bożą za nasze grzechy, a przychodzi na cię i niewinnie, toż wtedy nie spuszczaj się na same kotki, jeno radź sobie sam wedle twej głowy, słuchaj rady dobrej od ludzi mądrych, bierz leki i proś Boga, a jak wartasz dobrego zdrowia, da ci go Bóg — bo zdrowie i życie idzie od Boga i trza go rozumnie używać, a kotki same nie mają nigdy takiej mocy, aby bez woli bożej pomogły komu.

— Ba! zagadał koło drzwi ktoś znowu, a jakto w lecie grzmi i łyska się, to co chałupa to każda gospodyni bierze miseczkę z ogniem i krzy na ogień te kotki święcone albo pali te pręciki i lata koło chałupy i kadzi, albo pali na nalepie i myśli sobie, że ten dym uratuje chałupę od pioruna ognistego....

— I to prawdę gadacie, mówił Burda na to, ale ja wam powiadam na to jeszcze większą prawdę, że od pioruna ognistego obroni jeno sam Bóg — a Bóg dał rozum na to ludziom, aby uważali sobie dobrze, co od ich chałupy oddala piorun, a co znowu ściąga piorun na ich chałupę.

— O dla Boga świętego, krzyknęła jedna kobiecina, a cożby tam znowu było takiego, żeby przyciągało piorun straszny na chałupę?

— Co takiego? mówił Burda, ja wam tu zaraz powiem. Na to nie trza żadnych czarów, aby to zgadnąć. Jeżli masz na ten przykład drzewo wielkie koło chałupy, to piorun uderzy zawsze prędzej w to drzewo wysokie niż w chałupę, a jeżli masz chałupę gdzie na górce i to bez drzewiny, to piorun trzaśnie nie raz w nią, bo piorun lubi strasznie górki, lasy, kępy, wysokie drzewa, wody, wysokie chałupy i wielkie zabudowania. Ale piorun lubi strasznie i ciepło i ogień i dym — toż jak ty palisz na chleb w piecu, albo gotujesz jeść, jak się kurzy dym jak słup z chałupy, kiedy grzmi, to bądź gotów że trzaśnie w twoją chałupę, jak nie pogasisz ognia, i nie udusisz dymu. Otóż miarkujcie sobie dobrze, abyście nie kadzili i nie palili bardzo dużo święconą palmą wtedy w domu, kiedy grzmi, bo

wam piorun trzaśnie w chałupę i zabije i ogłuszy was, a święcona palma nie pomoże wam.

A jeden gazda zawołał na głos:

— No! to jakże? to nie trza pokadzić chałupy, kiedy grzmi i łyska się?

— Można pokadzić, rzecze Burda, ale odrobinkę, aby dym nie wychodził gruby na dach, boby tylko piorun ściągnął a potem nie trza z węglami na miseczce latać koło stodoły i chałupy, i kadzić, bo może wiatr zerwać ogień i zapalić, albo może piorun ognisty trzasnąć w sam środek tej miseczki, z której kadzisz, bo do ognia, ciepła i dymu leci tak piorun jak mucha do miodu i mleka. Najlepiej w izbie zakadzić odrobinkę jeżeli masz do tego nabożeństwo, a nigdzie nie wychodzić i okna i drzwi pozamykać, bo piorun lubi przelecieć przez takie chałupy, gdzie okna i drzwi otwarte stoją. Toż nie raz zwykł piorun uderzać do miski z jedzeniem, kiedy ludziska nierozumni siadają na dworze albo w sieni na progu do jedzenia i pootwierają chałupę. A znowu lubi strasznie piorun ścigać tych, co uciekają na koniu, na wozie albo lecą na nogach i zgrzani i zasapani stają pod jakiem drzewem, aby się zasłonić od deszczu. Toż uważajcie sobie dobrze, abyście nie ściągali na siebie co złego zamiast dobrego przez wasz nierozum. Piorun jest ślepy, on trzaśnie tam, gdzie mu najlepiej wypadnie, a Bóg was nie będzie bronił wtedy, kiedy wy rozum tracicie i dobrej rady nie słuchacie.

Wszyscy wysłuchali z dobrą zwagą tego Burdy, rozeszli się każdy w swoją stronę, a ja także słyszałem to wszystko co do słowa; a gdy te słowa Burdy bardzo mi się spodobały i mówią co do słowa wielką świętą prawdę, toż ja podaję to wszystko do Dzwonka, abyście moi kochani wiedzieli o tem, jak to się Krukowiczanie zabawiają w arendzie, i co to znaczy palma święcona u nas Polaków i do czego ona po chałupach polskich użyteczna.

X. Wojciech z Medyki.

Budziwoj.

Na ławeczce przed jednym dworkiem litewskim we wsi z Polską graniczącą, siedział staruszek blisko sto lat mający, przesuwając w ręku koronkę i pobożną sobie szepcząc modlitwę. A było to 2. lipca r. 1863 w sam dzień Matki Boskiej jagodnej, słońce prawie miało się ku zachodowi, gdy nadszedł oddział powstańców polskich, szukając odpoczynku i pokrzepienia po całodziennem strudzeniu swojem.

Zarządził staruszek wszystkiem jak należało, bo w ręku jego był klucz od spiżarni, wypytując się przytem ciekawie o szczegółach dnia zeszłego. Gdy po posileniu jedni na trawnisku spać się pokładli, drudzy dla bezpieczeństwa czuwali, był między tymi żwawy jeden dwudziestoletni młodzieniec, którego staruszek zagadnął:

— A Ty synu! zdaleka jesteś?

Odpowiada chłopak:

— Z tamtej części Polski od południa, z okolicy Rzeszowa, i jestem synem chłopka jednego.

Na tę odpowiedź zerwał się staruszek z ławeczki, i wyciągnął ręce ku niemu mówiąc:

— A synu? bo i ja z tamtych stron jestem! Skąd?

Powstaniec mówi:

— Z Budziwoja.

Nie do opisania była radość starca, spotkanie to dodało mu siły, i jął opowiadać całe koleje życia swego, jakimto on sposobem w tak dalekie dostał się strony. Oto mówi:

— Jest już temu lat 86, byłem natenczas niewielkim chłopakiem zaledwie lat 16 mającym, gdy z dóbr tych z Białegostoku, zjechała do Tyczyna wdowa po Hetmanie Branickim — a siostra króla Poniatowskiego, dla odebrania w dożywocie tamtych dóbr na Podgórzu leżących. Bawiła tam kilka tygodni, codziennie wyjeżdżała sobie na spacer, a ja będąc podówczas za pogonicza do koni skarbowych, z nią jeździłem. Jednego razu, gdyśmy z kościoła Budziwojskiego po mszy św. wracali, zagadnęła mię:

— Łukaszku! nie poszedłbyś ty do mnie w służbę?

A ja na to bez długiego namysłu, bo mi rodzice odumarli, a starszy brat zagrodę objął, rzekę: „z całą chęcią dobra pani?“ i w dni kilka wyjechaliśmy w cztery bryki z całym dworem, a ja powoziłem landarą, w której sama hetmanowa siedziała.

Najpierw pojechaliśmy do Krakowa, tam zabawiliśmy cały tydzień, tam byłem na zamku naszych królów polskich, zwiedzałem ich groby, 50 kościołów, między temi cudny kościoł Panny Maryi. Ztamtąd wstąpiliśmy do Częstochowy, gdzie jest najsłynniejszy na całą Polskę kościoł i klasztor xięży Paulinów z cudownym obrazem Matki Bożej królowej naszej — potem do Warszawy, gdzieśmy pare miesięcy się zatrzymali, i tam było się czemu napatrzyć, osobliwie pięknemu wojsku naszemu, nareszcie przed zimą stanęliśmy w Białymstoku, w której okolicy i dotąd zostaję. Pierwszą żonę miałem Polkę, a drugą Litwinkę, obie poczciwe kobiecięta. Miałem trzech synów, cztery córki, siedm wnucząt i dwóch prawnuków. Syn jeden i dwóch wnuków służyli wojskowo, i dzięki Bogu! łaska Boża była zawsze ze mną i z nimi. Oprócz mnie przywiozła z sobą ś. p. hetmanowa i dwie dziesięcoletnie sierotki z Budziwoja: Zosię Dominownę, i Jagusię Żuradzionkę, oddała ich do garderoby, kazała ich uczyć szyć i robot pięknych, a tak były pojętne i zręczne, że ich roboty mamy kilka pięknych ornatów w kościele tutejszym. Jeden nawet ornat uszyły dla Budziwoja i posłały go przez jednego pielgrzyma, co po odpustach chodzi, ale że nie miał paszportu, i Niemcy go od komory wrócili. Nie wyszło lat kilka, z moich Budziwojek takie się hoże panienki wybrały, że aż tutejsze nie rade im były. Poszły za mąż i dobrze się prowadziły. Jedna była za marszałkiem zamkowym, a druga za rządcą na folwarku jednym. Bywaliśmy często u siebie. W lat kilka przybyło jeszcze kilkoro ludzi od Tyczyna, a z tych jeden szczególniej utkwił mi w pamięci, którego przygody opowiedzić ci muszę. Był nim Pietrek Skoczylas z Budziwoja. Ten tu długo nie posiedział, zaciągnął się do naszego wojska. Chciano go do piechoty obrócić, ale on odrzekł: że Budziwojcy nie radzi piechotą łazić, tylko do koni spryt mają, i przeszedł do ułanów. Służył pod Kościuszką, Dąbrowskim, Poniatowskim, był we

Włoszech, w Hiszpanii, w Egipcie, schodził nie mało świata, zdrów i zawsze wesół, miał dwie szramy na twarzy od cięcia pałaszem, ale z tem mu ładnie było, snać że śmiało nieprzyjacielowi w oczy zaglądał. Wszyscy go szanowali, na starość miał dogodne miejsce przy kancelaryi wojennej w Warszawie, i będzie już lat 40 jak umarł.

Przymęczył się starowina tem długiem opowiadaniem, skinął na zamężną wnuczę swoją, piastującą jego prawnuka, kazał przynieść buteleczkę miodu, poczęstował mię, sam się pokrzepił, spoczął jeszcze chwilkę, i znowu dalej prowadził mowę swoją:

— Ty synu może nie wiesz, co to dawniej znaczył Budziwoj? Była to wieś pierwsza na całą okolicę, wieś zamożna. Samych kmieci było tam czterdziestu kilku, a między tymi wielu szlachty. Znane mi są niektórych nazwiska, które zapamiętałem, o drugich od starych słyszałem, a i w tutejszych rejestrach zapisani stoją. Tacy byli Skotnicki, Borowiec, Zarębski, Lasota, Pudłowski, Paszkiewicz, Kurski, Stachurski, Jankowski, Głodowski, Kurowski, Domino. Ostatniego dziadek nawet wieś Hermanowę długi czas w dzierzawie trzymał. Ale bo też oni mieli coś do prawdy w sobie, jakby staropolska szlachta. Pogościć się, poradzić się, pogodzić się, i znowu uraczyć się. Szczerzy, przyjacielscy, usłużni, ale z nimi nie zarywaj, bobyś się z twojemi kośćmi nie obrachował, tacy ambitni.

Razu jednego zjechał hetman do Tyczyna i był na podwieczorku u Kotuli. W stodole przyjmował go kmiotek dobrym miodem i gospodarskim chlebem. Oglądał całe jego gospodarstwo, i spodobały mu się cztery jego konie bułanki. Rzecze do niego hetman:

— Wiesz co Kotula! sprzedaj mi twoje bułanki!

Na to Kotula:

— Niemam ich na sprzedaż, ale skoro się panu hetmanowi podobają niech służą, proszę je przyjąć na pamiątkę odemnie.

Nie było rady.

— Dobrze! mówi hetman, ale pod warunkiem, żebyś mię sam niemi do Białegostoku odwiózł.

— Zgoda — rzecze Kotula — bywałem tam za młodu, jeszcze raz przed śmiercią tam się przejadę.

Nazajutrz pojechali. Nie wyszedł na tem źle Kotula, przyprowadził natomiast jeszcze ładniejsze 4 gniade klacze z hetmańskiego stada, dano mu coś talarów na drogę, a jejmość hetmanowa piękne korale dla żony i dwóch córek.

— Nie wiem, pyta się dalej staruszek powstańca: czy też noszą jeszcze Budziwojcy wysokie czerwone czapki z czarnym barankiem? I o tem warto posłuchać. Czapki te były oznaką ich odwagi i poświęcenia dla ojczyzny, czego nieraz dali dowód. Gdy przed 240 laty Tatarzy wtargnęli w naszą Polskę palili wsie i miasta i kościoły święte, i już spłonął Tyczyn, podsunęli się ku Budziwojowi, właśnie przed samym zachodem słońca, podkładając ogień pod skrajne domy i stodoły, jakie na wzgórzu stały. W tem rzęsisty deszcz się puścił, i przeszkodził dalszemu szerzeniu się ognia. Budziwojcy co uszli ku Wisłokowi i w gęstej wiklinie się ukryli, patrzyli na to zdaleka, co się w ich wsi dzieje, truchlejąc i niewiedząc coby począć mieli? Duch wstąpił w serce jednego już niemłodego gospodarza, i w te się do drugich odzywa słowa:

— Bracia! na próżno nam tak stać i załamywać ręce. Patrzcie oto deszcz leje, noc ciemna, Tatarzy pewnie pozasypiali. Podstąpmy cichaczem z siekierami i cepami, i uderzmy na nich znienacka, a nasza Matka Boska Snieżna dopomoże nam.

Zgodzili się wszyscy na jedno, sto czterdzieści chłopa ich wyruszyło przed samą północą, waląc po łbach każdego, którego napotkali. Natłukli tego nie mało, nim się poprzebudzali Tatarzy, nużże w odwrot ku Tyczynowi, myśląc że liczne wojska przeciw nich wystąpiły, i już się więcej nie poważyli na Budziwoj uderzyć, zostawiwszy 50 koni pięknych, któremi się gospodarze podzielili. Pod kościołkiem ich tlał ogień podłożony ale przygasili go. Poźniej znowu Węgier jeden Rakoczy wpadł z wojskiem do Polski a i wtenczas dwudziestu młodych Budziwojców przyłączyło się do wojska xięcia Lubomirskiego z Rzeszowa i ku Łańcutowi nieprzyjaciela gnali. Pokazała się i czereda Kozaków w tamtych stronach, raz się tylko z Budziwojem zmierzyli, i więcej z czerwonemi czapkami spotykać się nie chcieli. I mię to cieszy, że z takiej wsi pochodzę.

I zanucił sobie starowina piękną zwrotkę, zapewne od dawna złożoną:

Rodem jestem z Budziwoja,
Z poczciwego Ojca Gliwy,
Borowcówna matka moja
A i ten ród był poczciwy.
Kochał Boga, ziemię swoją,
Jak przystoi na Polaka,
W chatce jego goście roje,
Niepominął i żebraka.

Koguty na północ zapiały, zabierali się nasi, by pójść dalej. Starowina wydobył z kieszonki medalik z Matką Boską Częstochowską, zawiesił go na piersi mojej, błogosławił, i gdym całował ręce jego, on jeszcze domówił:

A gdy przyjdzie do spokoju,
I zawitasz w Budziwoju,
Pozdrów wszystkich od Łukasza
Tak jak każe wiara nasza,
Od starego ich rodaka,
Katolika i polaka!

Wyruszyliśmy spiesznie, i od wrót jeszcze odwracając się, widzieliśmy jak starzec wzniósł ręce ku niebu i błogosławił nas.

Co się dalej stało, doczytacie i dowiecie się z listu pisanego do owego Łukasza Gliwy, który wam tu w odpisie udzielam:

List.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowny Panie Łukaszu!

Dałem Wam słowo za powrotem do domu opisać wszystko, coście wiedzieć radzi byli. Opoźniłem się z pisaniem, bom odprawił pielgrzymkę do ziemi świętej, gdziem Was i waszą familię, panu Jezusowi w modlitwie polecał. Na tej pielgrzymce zeszedł mi rok cały, i dopiero przed kilkoma tygodniami do swoich wróciłem. Po rozstaniu się z Wami jeszcześmy spiących Moskali zastali, uprzedziliśmy ich, bo oni nazajutrz na nas natrzeć mieli, i dobrześmy na tem wyszli. Biłem się do samego ostatka, Bóg mię przy życiu i zdrowiu zachował. Matka Najświętsza, której medalik z błogosławieństwem na piersi za-

wiesiliście mi, chroniła mię od wszelkiego nieszczęścia. Wnuczkę Waszej pani Józefowej rączki całuję, i dziękuję za ów bocheneczek chleba, i spory kawał słoniny, co mi do torby wsunęła. Nie spostrzegłem się aż w drodze, że mi coś ciężyło. Oj przydało nam się też, przydało, smacznieśmy z towarzyszami spożyli. W Budziwoju dotąd nie byłem, bo mi nie było na rękę, spisałem tylko wszystko na papier, i do wydrukowania w Dzwonku podałem skąd się o wszystkiem dowiedzą, jak czytać będą. Miałem jednak sposobność spotkania się z dwoma gospodarzami z tamtej okolicy, i wywiedzenia się o wszystkiem, o czem wam dla waszej ciekawości donoszę. Oto pokolenie młodsze trzeźwo i statecznie się prowadzi, mierzi ich tylko, że jedna piękna rola przed kilkunastu laty w skutek zapijania się pewnego człowieka w ręce szynkarza żydowskiego przeszła. Jest to dla nich przestrogą, by się strzegli od sideł podobnych. Kościółek swój stary schludnie utrzymują, ale o tem coście mi mówili, że jakaś kmiotka Rogowa z swego grosza inny wymurować zamyślała, nic tu o tem nie słychać. Pobożność jest u ludu chwalebną, dla kościoła chętni, xiężom życzliwi, na weselach zamożniejsi radzi ich zapraszają do siebie, racząc ich i goszcząc z szczerością serca. Zastawa wtenczas na stole bywa z cukierni, wszystko z pańska, jak się patrzy. Do czytania książek wielką mają ciekawość, trudniejsze nawet książki czytają i pojmują. Dla Waszej wiadomości wymieniam niektórych po nazwisku, co na to zasługują, a może są i z rodu Waszego, co Was ucieszy, jako to: Kyc Marcin, Gliwa Adam, Borowiec Wawrzeniec, Gliwa Tomasz, Skoczylas Marcin, Prędki Józef, Warzocha Paweł, Konkol Marcin, Miciuda Józef, i wielu innych. Szkoła jest w miejscu, dzieci się wszystkie uczą, i jest nadzieja w Bogu, jak tak dalej pójdzie, że nie przejdzie lat 10, ta wieś inne wyprzedzi, i za przykład drugim służyć będzie. Wiele zależy od wójta, jak się jaki uda, a tutejszy właśnie jest za szkołą, nazywa się Kotula. Może to jest prawnuk tamtego Kotuli, co hetmana u siebie przyjmował, i konie mu podarował? W okolicy Rzeszowa jest więcej takich wójtow i gospodarzy, co są za szkołami i za chwałą bożą, warta wymienić ich nazwiska, im dla pochwały a dla zachęty drugich, Skotnicki

z Słociny, Borek Jędrzej z Staromiescia, Jopek stary z synem i Klimasze z Kielnawny, Czarnota z Błędowy, Michał Szuwagiel z Trzebowniska, Piotr Paczesniak z Drabinianki, Różański z ruskiej wsi, i wielu innych. Dobrzeby było, gdyby i z innych stron podawali do wiadomości imiona gospodarzy i wójtów pod tym względem zasługujących się. W nadziei, że mi na ten list odpiszecie, i dacie o sobie wiadomość całuję z uszanowaniem ręce Wasze.

Wdzięczny Wawrzek z pod Rzeszowa.

Dnia 2go lutego 1865 w dzień MP. Gromnicznej.

W miesiąc otrzymałem odpowiedź od pani Józefowej, że list mój zastał jeszcze przy życiu Łukasza Gliwę, kilka razy kazał go sobie odczytywać, mnie i Budziwojskich pozdrowić polecił, i dnia 4go w Panu Bogu zakończył świątobliwe życie swoje. Racz Panie! przyjąć duszę jego do najświętszej chwały swojej!

Wawrzek z pod Rzeszowa.

Jak żywić pszczoły?

Pogadanka dwóch pasieczników.

Piotr. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! *Walenty.* Na wieki wieków, Amen. *P.* Coż tam słychać u was w pasiece? *W.* Ot, jak tego roku bieda na wszystko, na ludzi, na bydło tak i na pszczoły. Roku zeszłego przez słotę miodu nie mogły nazbierać, a teraz giną z głodu. *P.* A czemuż nie ratujecie, nie dajecie jeść? *W.* Ba! łatwoby to było gdyby człowiek miał w zapasie miód, toby tam i nie żałował, bo przecież jest to ich własna praca, i grzechem by było takie użyteczne stworzenie boskie głodem umorzyć, ale pominąwszy to wszystko wiem ja z doświadczenia że pszczoła każdą kroplę miodu, którą jej z wiosny damy, kilkakrotnie wynadgrodzi. Ale i na cóż tam gadanie się zda, kiedy tego miodu nie przybędzie, a kupować, i to jeszcze tam jakiegoś wołoskiego albo węgierskiego,

to rzecz bardzo niebezpieczna! Nieboszczyk mój tatunio miał ze sto pni, ale przyszła na pszczoły taka bieda jak tego roku, nie było własnego miodu i musiał zagranicznego miodu na karmę kupować. Jak wam potem zaczęło wszystko ginąć, to do dwóch lat nie zostało ani pnia. *P.* I jakże myślicie, dla czego cała ta pasieka zginęła. *W.* Bo to uważacie, tak jak nam ludziom zagraniczne jadła i trunki do zdrowia nie służą, tak i pszczołom obcy miód zgubę przyniósł. *P.* Ot bajecie! Ja przecież także nie dzisiejszy, mam także i pasiekę i czytałem różne książki i gazety takie, gdzie o niczem innem nie piszą jak o samych pszczołach. Pisują do tej gazety pasiecznicy z całych Niemiec, jak tylko ktoś coś nowego wymyśli już zaraz podaje do gazety, i wychodzi ta gazeta już kilkanaście lat, to możecie sobie wyobrazić co tam ludzie już nie powymyślali, ledwie człowiek o czem pomyśli, to tam już o tem i zapomnieli. *P.* No kiedy wyście tacy mądrzy, i gadacie żeście tak dużo czytali, to powiedzcie mnie co teraz na głód robić, kiedy miodu niema? *W.* A co robicie z końmi jak się owies nie urodzi i paszy niema? *P.* Ta to prawda że się daje sieczka, grys, siano, ale jak koniowi nie dać owsa to nie wiele on zrobi. *W.* Wprawdzie nie wiele zrobi, ale żyje póki owies się nie urodzi. Tak też i pszczoła, nim drzewa zakwitną i miód z kwiatu będzie, można jej dać cukru zamiast miodu. *P.* A jakże ona go ugryzie? *W.* To bagatela. Cukru białego rozpuścić we wodzie, włożyć do garnuszka czystego, najlepiej do nowego, w którym się jeszcze nic nie gotowało, zagotować nad ogniem i odszumowywać, a gdy się ugotuje do tyle, aby funt cukru razem z wodą nie czynił więcej jak kwartę syropu, niech potem zastygnie, i w potrzebie tak pszczołom dawać. *P.* Ale czy zechce pszczoła go jeść, kiedy nie poczuje, że to miód w korytku, to się do niego nawet nie spuści, a tem mniej żeby chciała przed oczko wyjść. *W.* Trzeba zatem do każdego funta cukru troszeczkę miodu dla zapachu dodać, a jak się już raz przyzwyczai do korytka z cukrem, to i bez miodu go zabierze. *P.* A zkąd że te trochę miodu dla zapachu wziąć? *W.* Tu już wam nic innego nie pomoże, jeno musicie po pniach takich, które jeszcze miód mają, poszukać i tę odrobinę mu odebrać. Może przecież który pień jeszcze tam gdzieś z boku go ma, aby głowy nie otwierać. Chyba żeby już żadnym innym sposobem miodu nie było można dostać, a pszczoły na żaden sposób nie chciały sam cukier brać, toby można od biedy zagłówek oderwać, trochę miodu gdzie z boku nadebrać, aby wielkiej dziury w głowie nie robić, ale zaraz na powrót zagłowek nałożyć, dobrze gliną oblepić i je-

szcze do tego na wierzchu ulu otawy albo mierzwy dobrej położyć, żeby ciepło z ula nie wychodziło. *P.* Jeżeli z wiosny miód się wybiera to łatwo przez to sprowadzić można rabunek a w zimie nie wypada znowu ula otwierać, a to do tego jeszcze z góry. *W.* Dla tego będzie najlepiej taki ul wnieść do chałupy, miód wziąć, wszystko na około dobrze oblepić a potem na dwór wynieść. A gdyby pszczół kilka do okna powylatywało, można okno otworzyć a one same pójdą do ula. *P.* No to dobrze. Dawać byłoby już co; ale jak i którędy go do ula dać, żeby pszczoły mogły najłatwiej do tego cukru się dostać? Bo jeżeli na dworze ciepło a pień silny, to on go zawsze znajdzie. Ale jak pień słaby a do tego zimno, co wtenczas robić? *W.* Na to są różne sposoby, podług tego jakie ule macie, czy proste czy Dzierżony. W prostym ulu najlepiej karmić z góry. Jeżeli mu wywiercacie na środku zagłówka dziurę tej wielkości, aby mały palec się w nią wlazł, potem wziąć flaszeczkę małą z oliwy, nalać do niej gęstego miodu albo cukru, obwinąć otwór czystą, białą szmatką, zawiązać i wsadzić do tego otworu, i uważać: jeżeli pszczoły już to zjedzą, wyjąć tę flaszeczkę i włożyć drugą. Jak karmienie ustanie, zatkać tę dziurę czopem, tak żeby na drugi rok znowu go można wyjąć i wtedy karmić. Można także, jeżeli oczko jest w głowie, albo dość wysoko, karmić w żłóbkach z bzu, wtenczas nalejesz miodu w taki żłobeczek i wsuniesz do oczka, ale tu musisz uważać zaraz czy pszczoły zabierają karmę, bo jeżeli nie, to trzeba: ul wnieść do chałupy, oczko lekko zatkać, a jeżeli pszczoły ożyją, natenczas można mu dać na miseczce od razu z kwartę miodu lub cukru ze spodu, a gdyby nie można miseczki wsunąć, to poderznij trochę woszczynę. A jak pszczoły karmę do głowy zabiorą, wtenczas zalep ul i wystaw na dwór i odetkaj oczko. Ale na miód w miseczce musisz położyć krótko uciętej słomy, ażeby się pszczoły w miodzie nie topiły. Ale najlepiej jest karmić, jeżeli kto ma ule Dzierżona, bo wtenczas tylko wezmę plaster próżny z głowy i wsunę plastr z miodem, a jeżeli nie mam plastrów z miodem, biorę plastr próżny, naleje w komórki rozpuszczanego miodu albo cukru, i wsuwam od razu w głowę, natenczas nie potrzebuję ani pszczół rozruszać i w momencie robota skończona.

Dalsza rozmowa na drugi raz.

Stefko ze Lwowa.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.